



18

Madeleine Albright
o współczesnym faszyzmie



26

Pozwolić dziecku
odejść z domu



100

Edward Dwurnik
– piewca i prześmiewca

Tematy tygodnia

12 Martyna Bunda **Odra nad Wisłą**

15 Marcin Kołodziejczyk

**Weekend
niepodległościowy**



Polityka

18 Rozmowa z **Madeleine Albright**,
byłą sekretarz stanu USA,
autorką książki „Faszyzm. Ostrzeżenie”

22 Anna Dąbrowska
Sejmikowe układanki

Społeczeństwo

26 Jak wypuścić dzieci w dorosłość
radzi **dr Jolanta Berezowska**

30 Co przyciąga gejów do kapłaństwa,
mówi **Paweł Dobrowolski**, aktywista
LGBT związany z grupą Wiara i Tęcza

33 Agnieszka Sowa
Dlaczego upadł Se-ma-for

36 Marek Świerczyński **Kosztowne
Wojska Obrony Terytorialnej**

Rynek

38 Alina Białkowska
Kiedy wszystko będzie inteligentne

41 Adam Grzeszak
Polityczne wskreszenie Autosana

44 Cezary Kowanda
Bezwzględni filantropi

Świat

48 Maciej Okraszewski **HISZPANIA**

To idzie skrajna prawica

51 Zbigniew Rokita **UKRAINA**

Donbas bez ruchu

54 Tomasz Zalewski **USA**

Jak w Polsce: wszyscy wygrali

56 Marek Ostrowski

Łaski i łatki według Sikorskiego

Historia



58 **Prof. Witold Orłowski**,
autor książki „Inna Polska”, o alterna-
tywnych scenariuszach naszej historii

62 Anna Wolff-Powęska
**Rocznice historyczne
w służbie propagandy**

Nauka

64 Stephen Hawking
**Czy podróże w czasie
są możliwe?**

68 Paweł Walewski
Dieta dla chorych na raka

70 **Dr Szymon Drobniak**, laureat
Nagrody Naukowej POLITYKI,
zdradza tajemnice ptasich zrad

Ludzie i style

72 O operacjach plastycznych Polaków
mówi **dr Elżbieta Radzikowska**

76 O polskiej prowincji i piłce opowiada
Stefan Szczepiek, dziennikarz
i historyk futbolu

Kultura

82 Marcin Zwierzchowski
Uprowadzony Wiedźmin?

85 Piotr Sarzyński

Dwie wystawy



88 O kolekcji dzieł sztuki Hildebranda
Gurlitta, marszanda Hitlera,
mówi **dr Agnieszka Lulińska**

91 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

92 Urszula Schwarzenberg-Czerna
**Robert Redford
– dżentelmen z kamerą**

Na własne oczy

100 Piotr Sarzyński
fotografie Teresa Gierzyńska
**Edward Dwurnik – artysta
chory na codzienność**

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 46 Przegląd informacji rynkowych
- 78 Afisz • 94 Passent • 96 Hartman
- 97 Tym • 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy • 106 Polityka i obyczaje

PRENUMERATA PAKIETOWA: WYDANIE PAPIEROWE I CYFROWE W JEDNYM

Drodzy Czytelnicy, docierają do nas sygnały o problemach z nabyciem POLITYKI w kioskach i punktach sprzedaży obsługiwanych przez Ruch SA. Sytuacja ma dotyczyć głównie mniejszych miejscowości. Jeśli spotkali się Państwo z taką sytuacją, prosimy o sygnał na adres dystribucja@polityka.pl lub o kontakt telefoniczny 22 451 61 65.

Dla wszystkich z Państwa, którzy chcą mieć pewność zakupu POLITYKI, przygotowaliśmy specjalną ofertę prenumeraty pakietowej. Odwiedź stronę <https://sklep.polityka.pl/pakietowa>. Zadzwoń: +48 672 108 630. To gwarancja otrzymania zarówno każdego drukowanego wydania POLITYKI, jak również dostępu do jego wersji cyfrowej już od wtorkowego popołudnia.



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Bóg, Duda, Ojczyzna

Podczas centralnych obchodów 100-lecia odzyskania Niepodległości nikt nie odniósł poważnych obrażeń, co trzeba uznać za sukces Polski i wszystkich Polaków. Panuje opinia, że największym wygranym obchodów jest odsłonięta 10 listopada postać prezydenta Lecha Kaczyńskiego, wyraźnie dominująca nad stojącą w jej sąsiedztwie postacią Józefa Piłsudskiego, co ostatecznie zamyka spór o to, który z nich jest większym Polakiem. A przy okazji kładzie kres plotkom, jakoby postać Lecha Kaczyńskiego swojej monumentalnej wielkości nie zawdzięczała własnym dokonaniom, tylko staraniom posła Sasina, o którym powszechnie wiadomo, że za co by się nie zabrał, to i tak mu się nie uda. Z tym że bez względu na to, kto jest prawdziwym ojcem zwycięstwa postaci Kaczyńskiego nad postacią Piłsudskiego, uważam, że sprowadzenie tej drugiej postaci do właściwych rozmiarów to dobry prognostyk na kolejne 100 lat niepodległości. Oprócz postaci Lecha Kaczyńskiego wygranymi obchodów są funkcjonariusze policji, którzy od 1 stycznia 2019 r. mają otrzymać 655 zł brutto, a od 2020 r. jeszcze 500 zł brutto. Sukces wizerunkowy odnieśli także: aktor Mel Gibson, Żandarmeria Wojskowa oraz prezydent Andrzej Duda,



który niespodziewanie dla samego siebie i innych na kilka dni przed 11 listopada został głównym organizatorem i uczestnikiem marszu „Dla Ciebie Polsko”, pokonując przeważające siły ONR i Młodzieży Wszeczpolskiej, które musiały iść daleko za nim w marszu zatytułowanym „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Marsz „Dla Ciebie Polsko” już na początku wysunął się na prowadzenie i uciekał przed grupą pościgową, złożoną z uczestników marszu „Bóg, Honor, Ojczyzna”, którzy, odpalając race, podążali za nim z okrzykiem „Raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę”. Mimo to marsz „Dla Ciebie Polsko” do końca zachował spokój oraz podniosły nastrój i nie dał się dogonić, co trzeba uznać za niepodważalny sukces tego marszu.

Ze wstępnych szacunków wynika, że największym przegranym obchodów, oprócz marszałka Piłsudskiego, jest budżet państwa, który będzie musiał wypłacać policjantom dodatkowe 2 mld zł rocznie, a także część polskich dzieci, którym w ramach przygotowań do obchodów 100-lecia odzyskania Niepodległości kazano nauczyć się na pamięć słów wielu patriotycznych pieśni i wierszy, ale nie wyjaśniono im ich treści. Moim zdaniem o sukcesie nie mogą również mówić kibole w kominariach, którzy wypadli słabiej niż zazwyczaj i, jak to mówią komentatorzy sportowi, nie stworzyli ani jednej groźnej sytuacji oraz nie zanotowali żadnego celnego trafienia.

Marsz na rozstajach



Jerzy Baczyński

Można było sobie wyobrazić lepiej zorganizowane, przemyślane i pogodniejsze obchody 100-lecia odzyskania niepodległości, ale też mogło być o wiele gorzej. Kulminacyjny punkt obchodów, czyli wielki warszawski marsz, był rzeczywicie masowy, imponujący rozmachem i zdecydowanie bardziej spokojny niż którykolwiek z wcześniejszych Marszów Niepodległości organizowanych przez tzw. środowiska narodowe. Nie obyło się bez incydentów, defilady faszystowskich znaków, rac, petard, chamskich okrzyków (relacja s. 15), ale większość uczestników sprawiała wrażenie, że przyszli i maszerują, by osobiście wziąć udział w ważnym symbolicznym święcie, zademonstrować patriotyczne uczucia, nie zmarnować dnia. Podobnie było zresztą na dziesiątkach lokalnych pikników, festynów, parad organizowanych w całym kraju przez władze samorządowe. Udały się nawet niektóre akcje międzynarodowe, jak podświetlenie na biało-czerwno kilkudziesięciu słynnych światowych zabytków czy uroczyste koncerty.

Jasne, nie przyjechali na polskie obchody światowi liderzy, a jedyny, który przyjechał, czyli przewodniczący Rady Europejskiej, został przez władze państwowe bojaźliwie zignorowany. Nie otwarto żadnego spektakularnego obiektu, poza obrażającym poczucie proporcji, megalomańskim pomnikiem Lecha Kaczyńskiego – „największego przywódcy Polski od czasów Piłsudskiego”. Na szczęście też, staraniami lewicy, postawiono skromny, godny pomnik Ignacego Daszyńskiego. Opóźniona budowa muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku była na gwałt podciągana do stanu surowego, padły za to kolejne zapowiedzi, tym razem odbudowy Pałacu Saskiego oraz stworzenia, a jakże, muzeum-mauzoleum Lecha Kaczyńskiego. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że na 100-lecie mieliśmy do czynienia z „typowo polską” improwizacją, mieszaniną patosu i chaosu.

Względny wizerunkowy sukces tych obchodów jest, zapewne niezamierzoną, zasługą Hanny Gronkiewicz-Waltz. Jej wątpliwa prawnie (o czym od razu pisała w polityce.pl Ewa Siedlecka) decyzja o prewencyjnym zakazie demonstracji narodowców dała ekipie rządzącej nieoczekiwaną szansę odzyskania inicjatywy. Wyglądało, że 11 listopada PiS nie będzie miał co ze sobą zrobić ani dokąd pójść i nagle HGW popchnęła obie strony, „pisowców i narodowców”, do negocjacji. Jeśli był w tym makiaweliczny plan kompromitującego sklejania PiS ze skrajną prawicą, to chyba przekombinowany. Wyszedł z tego co prawda na końcu jakiś nienaturalny dwu-, a nawet trójmarsz – najpierw otoczeni kordonem oficjele PiS, a kilkaset metrów dalej wyraźnie ugrzecznieni narodowcy i reszta pochodu – ale była prezydent stolicy ułatwiła obu stronom zachowanie twarzy. Nie przypadkiem sam Joachim Brudziński dziękował złośliwie pani prezydent za pomoc w organizacji „biało-czerwonego marszu”.

To nie koniec politycznych paradoksów Święta Stulecia: o ile, można powiedzieć, Hanna Gronkiewicz-Waltz w ostatniej chwili uratowała te obchody dla PiS, o tyle opozycję, równie nieoczekiwanie, uratował Donald Tusk. Było przykre, że opozycyjne partie, być może zmęczone sukcesem w wyborach samorządowych, w zasadzie oddały Dzień Niepodległości walkowerem, jakby zawczasu zakładając, że na patriotyczne popisy nie mają co się ścigać z PiS. Kiedy zaczęło wychodzić na jaw, że władza prawie niczego porządnego nie przygotowała, większość polityków opozycyjnych po ogłoszeniu złośliwości deklarowała, że 11 listopada spędzą prywatnie lub w gronie

przyjaciół. Poza nielicznymi lokalnymi inicjatywami opozycja nie przygotowała żadnych alternatywnych centralnych obchodów. Ale pojawił się Tusk, potwierdzając, że po stronie antyPiSu wciąż jest jedynym politykiem wagi ciężkiej, zdolnym w pojedynkę przeciwstawić obozowi władzy kompletnie odmienną i spójną wizję polityczną.

Jubileuszowe narracje PiS były zresztą wyjątkowo słabe. Potwarzane przez Dudę, Kaczyńskiego i Morawieckiego wezwania do pojednania narodowego należały do kategorii „ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwonił”. Także opowieści o tym, jak PiS wypełnia nakazy Lecha Kaczyńskiego „budowy silnego i poważnego państwa” brzmiały szczególnie groteskowo, bo obóz władzy zaliczył serię okrutnych wizerunkowych wpadek, odslaniających tekturowość państwa PiS (łącznie z pisaną na kolanie ustawą o święcie 12 listopada czy panicznymi ustępstwami wobec strajkujących policjantów, aż do oficjalnej akceptacji „lewych” zwolnień). Na to wszystko próbowano narzucić interpretację, że niepodległość, której 100-lecie czcimy, oznacza, iż władza państwa jest swoiście sakralizowana, a jej „suwerenność”, także wobec własnego narodu, nie podlega żadnym kompromisom. Tusk tymczasem przywołał formułę „nie ma niepodległości bez wolności”, podkreślając, że niepodległość państwa, które narusza wolność, godność i prawa obywateli, jest niewiele warta, a bezkompromisowe rządy większości łatwo przeistaczają się w „rządy bolszewików”. Rysując już linie podziału przed wyborami do europarlamentu, Tusk mówił o niebezpieczeństwie niechcianego, „lunatycznego” polexitu, do czego prowadzi kontestowanie przez rządzących unijnych reguł i wartości, stawianie egoizmu nad solidarnością. „A kto jest przeciw naszej obecności w Europie, ten jest przeciwko polskiej niepodległości”.

Ale bodaj najważniejszy przekaz Tuska był taki (z wywiadu dla „GW”): „W Polsce zawsze byli antysemita i nacjonałści, socjaliści i liberałowie, ludzie mroku i oświecenia. Ale na końcu zawsze są konkretne decyzje konkretnych polityków. I one przeważają. Nie ma fatalizmu w polityce”. Mówiąc inaczej, społeczeństwo może wyglądać jak pochody 11 listopada – „od faszystów po lewaków” – ale to politycy w znacznej mierze odpowiadają za to, jakie cechy, zachowania i psychologie wspierają, wzmacniają, organizują. Autorytarna, agresywna, nieufna, megalomańska władza będzie sobą zarażała wspólnotę. Ciekawe, że niemal to samo mówi w wywiadzie dla POLITYKI (s. 18) była sekretarz stanu USA Madeleine Albright, autorka ukazującej się właśnie w Polsce bestsellerowej książki „Faszizm. Ostrzeżenie”. Ludzie nie rodzą się faszystami, ale poprzez intensywną propagandę, szczucie przeciw mniejszościom, wzmacnianie myślenia plemiennego, manipulowanie społecznymi lękami można z nich zrobić lojalnych wykonawców poleceń, na ogół psychopatycznego, wodza. Pech, jeśli władza, nawet wybrana demokratycznie, jest gorsza niż społeczeństwo, które reprezentuje.

Wciąż, wracając do 11 listopada, problemem Polski w Roku Stulecia nie są grupy nazioli, czy jakieś postendeckie społeczne klimaty, ale „bolszewizująca” wodzowska władza. Jednak – i to mogłaby być optymistyczna część przesłania – jak długo odbywają się wolne wybory (następne już w maju), nie ma fatalizmu. A niepodległość może maszerować pod rękę z wolnością i solidarnością.

Jan Koza



Chorowite służby

Służby mundurowe znalazły się w trudnym położeniu, kiedy 30 tys. policjantów wyemigrowało na zwolnienia lekarskie. Ta przedziwna epidemia, nazwana „psią grypą”, przetrzebiła komisariaty, na ulicach zabrakło patroli, a nawet zabezpieczenia rozpraw w sądach. Nikt specjalnie nie ukrywał, że to element protestu funkcjonariuszy domagających się podwyżek i przywilejów emerytalnych. Porozumienie udało się osiągnąć na trzy dni przed Świętem Niepodległości, w obliczu groźnej absencji przy zapewnieniu bezpieczeństwa podczas licznych imprez – ale pozostało pytanie o źródła tej tajemniczej plagi oraz o to, ilu lekarzy zostało w nią wciągniętych?

Akurat nie tak dawno cała Polska była świadkiem, jak inspektorzy sanepidu krok po kroku dociekali przyczyn wybuchu odry na Mazowszu. W wypadku masowych zachorowań w policji główny inspektor sanitarny nie ma jednak nic do roboty. Bo to nie odra ani grypa spowodowały ten pomór, więc wydawałoby się, że cała nadzieja tylko w kontrolerach ZUS. Ale tylko teoretycznie! Zakład Ubezpieczeń Społecznych, który szczeni się tym, że w pierwszej połowie tego roku wziął pod lupę ponad 240 tys. zwolnień lekarskich i wstrzymał wypłaty świadczeń chorobowych na kwotę ponad 12 mln zł, policji kontrolować nie może. Prawo stanowi bowiem, że weryfikację zwolnień przeprowadzają w tym sektorze tylko komisje lekarskie MSWiA oraz przełożeni policjantów. Służby mundurowe nie podlegają pod ZUS – objęte są odrębnym systemem zaopatrzenia emerytalnego, również w zakresie świadczenia na wypadek choroby.

– Wielu policjantów od dawna nadużywało przywileju korzystania z L4 – opowiada jeden z lekarzy pragnący zachować anonimowość. – A niektórzy chorowali po prostu na lenia. Jeśli na zwolnieniu dostają 80 proc. wynagrodzenia, a teraz wywalczyli 100 proc., to po co nadstawić kark w niebezpiecznej pracy?

Komendanci w wielu miastach już od lat próbują na własną rękę wykrywać symulantów, jednak gdy ostatnia akcja wynikała z protestu w obronie praw pracowniczych, nawet najbardziej gorliwi przełożeni zaczęli przysmykać na to oko w interesie zawodowej solidarności. Skoro dzięki strajkowi podwyżkę dostanie nie tylko posterunkowy, ale i sam komendant – jaki sens wyciągać konsekwencje od podwładnych. Nawet jeśli związek nie wzywał do takiej formy protestu, jak przekonuje przewodniczący Zarządu Głównego NSZZ Policjantów Rafał Jankowski.

Jakie są najczęstsze powody zwolnień w policji? Nadciśnienie, infekcje, stres w pracy i wypalenie zawodowe, które można nazwać chronicznym zmęczeniem. Podobnie jak przy skargach na ból krzyża lekarz nie jest w stanie od ręki zweryfikować prawdziwości pacjenta – a nie wypisać L4 nie wypada. Za poświadczenie nieprawdy grozi mu na początek kara odebrania możliwości wystawiania zwolnień na trzy miesiące, ale jeśli go nie wystawi, a pracownik nabawi się urazu lub powikłań – można go pozwać do sądu.

Wcale niełatwo, wbrew temu, co sugerował szef MSWiA Joachim Brudziński, takie zwolnienie przerwać. Wolno to zrobić tylko w porozumieniu z lekarzem – więc znów trzeba zająć miejsce w kolejce i na piśmie oświadczyć o odzyskaniu zdolności do wykonywania czynności służbowych. Tylko po co ten teatr? Albo minister przyznaje, że służby mundurowe ma w rozkładzie i chorowite, zaś sprawny aparat kontrolny w MSWiA potrafi wykryć symulantów (tak jak ZUS kontroluje zwolnienia innych obywateli), albo nie róbmy kabaretu z nagłymi uzdrowieniami i po prostu uznajmy, że w ramach podpisanego porozumienia rząd przysmyka oko na ten oczywisty szantaż. Bo lepiej wydać nocny dekret, jak to obecna władza potrafi, że wszyscy policjanci bez dodatkowych badań i zajmowania czasu lekarzom wracają z L4 na służbę. Przynajmniej nie wydamy na tę ściemę kolejnych milionów.

PAWEŁ WALEWSKI

REKLAMA

wSPAniała jesień w hotelach Zdrojowej
Wybierz dla siebie jeden z wyjątkowych pakietów SPA.



Wybierając
pakiet SPA
otrzymujesz
-10%
na pobyt

www.zdrojowahotels.pl

 ZDROJOWA
HOTELS®

HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™

KOŁOBRZEG • ŚWINOUJŚCIE • USTRONIE MORSKIE • SZKLARSKA PORĘBA



Dojrzały patriota

Patriotyczna retoryka bywa instrumentem polityki, która wcale nie służy narodowi i państwu.

Piszę ten tekst w szczególnym czasie. Obchodzimy stulecie odzyskania niepodległości. To czas, który skłania do refleksji nad stanem ojczyzny i do stawiania pytań o to, jaki typ patriotyzmu jest nam teraz szczególnie potrzebny. Nie ulega przecież wątpliwości, że istnieją różne koncepcje patriotyzmu (pisał o tym bardzo przekonująco prof. Andrzej Walicki). Jest też oczywiste, że patriotyzm wyraża się w różnych postawach i działaniach. Pozostają one w związku z wyzwaniem epoki. Jestem przekonany, że obecny czas istotnie różni się od realiów, z jakimi mieliśmy do czynienia jeszcze kilka lat temu. Patrząc z perspektywy Europejczyka i Polaka, wiem, że żyjemy teraz w świecie wyraźnie mniej bezpiecznym i mniej przewidywalnym.

Co się zmieniło? Stany Zjednoczone pod przywództwem Donalda Trumpa nie są już przyjacielem Unii Europejskiej. Nie uważają jej za naturalnego sojusznika, ale za rywala, którego warto osłabiać. Obecnie nie można przewidzieć, czy ten sposób postrzegania Europy utrwali się w amerykańskiej polityce, czy też okaże się chwilowym incydentem. Wyniki ostatnich wyborów do Kongresu USA nie przybliżyły nas do odpowiedzi na to pytanie. Wiemy jednak, że druga kadencja prezydencka Trumpa jest całkiem realna.

Coraz bardziej oddalamy się od porządku światowego, w którym dominującą pozycję zajmuje Zachód, a zwłaszcza USA. W kształtującym się nowym, wielobiegunowym porządku globalnym co najmniej dwa wielkie mocarstwa: Chiny i Rosja, są bardzo odległe od kanonu zachodnich wartości. Czy nam się to podoba, czy nie, Rosja Putina jest znowu wielkim światowym graczem, który – z sukcesami – dąży do poszerzenia swej strefy wpływów i zdecydowanie źle życzy Unii Europejskiej. W interesie Rosji Putina jest izolacja Polski i skłócenie jej z Unią.

Demografia Afryki i Bliskiego Wschodu, a z drugiej strony zamożność zachodniej Europy powodują, że rośnie presja migracyjna na UE. Pobudza to konflikty cywilizacyjne na naszym kontynencie i ruchy ksenofobiczne, które w niektórych państwach nabrały dużej dynamiki.

W Polsce w ostatnich latach także dużo się zmieniło. Wielu rodaków odczuwa satysfakcję z powodu sprzyjającej koniunktury i wysokiego wzrostu gospodarczego. Jednak zdecydowanie przeważają zmiany na gorsze. Trzy zjawiska uważam za szczególnie groźne dla naszego kraju pod rządami Prawa i Sprawiedliwości.

Pierwsze to łamanie konstytucji i prawa – w oczywistym celu. Chodzi o koncentrację możliwie największej władzy w jednym ośrodku dyspozycji politycznej. Oznacza to zmianę ustroju państwa na znacznie mniej bezpieczny dla wolności obywateli, ale także: zagrożenie dla stabilności Rzeczypospolitej.

Drugim bardzo groźnym zjawiskiem jest głęboki podział wspólnoty narodowej. Nie tylko PiS ponosi winę za ten stan rzeczy, ale odpowiedzialność tego ugrupowania jest największa ze względu na systematycznie stosowany przez nie zabieg dzielenia narodu na „dobrych Polaków” i Polaków „gorszego sortu”, a także z uwagi na fakt, że to ono od trzech lat sprawuje władzę w naszym kraju.

Trzecim niebezpiecznym zjawiskiem jest konflikt z instytucjami Unii Europejskiej, spychający nas na margines UE i redukujący pole manewru Polski w polityce europejskiej. Rządzący posługują się patriotyczną retoryką w tym konflikcie. Odwołują się do narodowej godności i stroją w szaty obrońców suwerenności Polski. Te argumenty trafiają do niemałej części rodaków. Nie dostrzegają oni, iż istota tego konfliktu polega na tym, że polskie władze, które dążą do złamania niezależności sądów i niezawisłości sędziów, nie życzą sobie, aby instytucje unijne przeszkadzały w tych działaniach. Unia Europejska próbuje jednak bronić praworządności w naszym kraju.

Co z tych rozważań wynika dla polskiego patriotyzmu? Jakiego patriotyzmu obecnie szczególnie potrzebujemy? Wiem dobrze, że patriotyzmu nie da się sprowadzić do jednej formuły, jednej koncepcji. Jesteśmy przecież różnorodni.

Stawiam tezę, że obecnie szczególnie potrzebujemy patriotyzmu dojrzałego i rozumnego, takiego, który umie odróżnić to, co leży w naszym narodowym interesie, od tego, co mu szkodzi. Umie rozpoznawać polską rację stanu i wie, jak jej służyć. Taki patriotyzm nie odreagowuje narodowych kompleksów ani nie odczuwa potrzeby okazywania wyższości wobec innych narodów. Umie rozróżniać słowa od czynów i wie, że patriotyczna retoryka bywa czasami instrumentem polityki, która wcale nie służy narodowi i państwu.

Dojrzały patriotyzm to także poczucie odpowiedzialności za los wspólnoty narodowej i państwa. To odmowa bezwarunkowego poparcia dla przywódcy, udzielanego bez względu na to, w jakim kierunku prowadzi on kraj. To także nieustanny wysiłek odczytywania rzeczywistości i szukania odpowiedzi na pytanie o to, co służy ojczyźnie, a co jej szkodzi. To postawa aktywnego obywatela, który wie, że kartka wyborcza ma wielką moc. Wie też, że trzeba działać na rzecz dobra wspólnego, zwłaszcza wtedy, gdy w ojczyźnie źle się dzieje, a jej prawa są łamane.

Polski dojrzały patriotyzm jest świadomy, że nie tylko położenie geograficzne, ale przede wszystkim wspólna cywilizacja europejska powodują, iż mamy prawo widzieć w Europie naszą szerszą ojczyznę. W obecnych czasach próbą nadania tej idei instytucjonalnej formy jest Unia Europejska. Udział Polski w tej wspólnotcie nie wynika jedynie z cywilizacyjnych i ekonomicznych przesłanek, ale jest przypieczętowaniem geopolitycznego i strategicznego wyboru dokonanego przez nasz kraj na przełomie lat 80. i 90. XX w. Unia nie niweluje różnic interesów narodowych. Można i trzeba spierać się o jej kształt oraz przyszłość. Przede wszystkim jednak trzeba w niej być – i to nie na jej marginesie, bo takie usytuowanie nie daje szans na wywieranie na nią realnego i znaczącego wpływu.

Dziś zaś na życzenie polskiego rządu jesteśmy właśnie na obrzeżach Unii Europejskiej. Ta sytuacja to poważne wyzwanie dla rozumnego polskiego patriotyzmu.

Szkodzenie leczeniem?

Wygłąda na to, że ginekolodzy z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu działali na szkodę pacjentek, przeprowadzając inwazyjne badania bez wskazań medycznych. Tak twierdził profesor Jerzy Heimrath w liście otwartym opublikowanym na stronie uczelni i tym uzasadniał swoją rezygnację z funkcji dziekana Wydziału Nauk o Zdrowiu. Uniwersytecki Szpital Kliniczny wytoczył byłemu już pracownikowi sprawę sądową za narażanie na szwank dobrego imienia szpitala przez publiczne piętnowanie wykonywania wysokopłatnych procedur medycznych bez wskazań. Sąd właśnie oddalił powództwo, uznając, że wypowiedzi profesora opierały się na faktach. A na wniosek sądu, zgodnie z sugestią biegłego, prokuratura prowadzi dochodzenie w sprawie histeroskopii wykonywanych na masową skalę, także pacjentkom ze zmianami na jajnikach, w klinice prof. Mariusza Zimmera. Dziś profesor Zimmer jest prezesem Polskiego Towarzystwa Ginekologicznego.

POLITYKA pisała o sprawie już kilkakrotnie. Ostatni raz w zeszłym roku (POLITYKA 27/17), kiedy biegły sądowy dr Piotr Kwieciński, specjalista ginekolog położnik, przeanalizował nadesłane przez sąd 93 historie chorób pacjentek kliniki prof. Zimmera. I uznał, że w 76 przypadkach lekarze przeprowadzili zabiegi niezgodnie z rozpoznaniem wstępnym i rozpoznaniem ze skierowania. Niemal połowę stanowiły pacjentki z guzami bądź torbielami jajników. Tylko u jednej wykonano badanie ultrasonograficzne oceniające zaawansowanie choroby. Wszystkie poddano histeroskopii, czyli endoskopowemu badaniu macicy, podczas którego nie sposób zobaczyć jajników, za to – w przypadku gdy na przydatkach są zmiany nowotworowe – można spowodować rozsianie nowotworu.

„Biegły zostawia Wysokiemu Sądowi decyzję co do ewentualnego przekazania tych materiałów prokuraturze celem zbadania, czy

doszło do pogorszenia stanu zdrowia niewłaściwie diagnozowanych pacjentek”, to konkluzja ekspertyzy dr. Kwiecińskiego.

Tak mogło być w przypadku 68-letniej Anny, której wykonano histeroskopię w klinice prof. Zimmera mimo stwierdzonych obustronnych torbieli jajników. Lekarze zajęli się niegroźnym polipem w macicy, lekceważąc guzy na jajnikach. Trzy lata później, gdy do uniwersyteckiego szpitala przywiozła ją karetka, a SOR skierował do kliniki prof. Zimmera, bo tomografia komputerowa wykazała: „monstrualny, niemierzalny!!! twór guzowaty rozrastający się z poziomu prawego jajnika”, profesor Zimmer odmówił przyjęcia chorej i ostatecznie operowano ją w drugim uniwersyteckim szpitalu. Wkrótce zmarła.

Profesor Jerzy Heimrath m.in. tym tragicznym przypadkiem uzasadnia swój sprzeciw przeciwko praktykom kolegów po fachu. Walczy już od ponad 10 lat. W 2007 r. w klinice dr. Zimmera przeprowadzono 1203 histeroskopie. W tym samym roku w klinice Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu zaledwie 70. NFZ za jedno badanie płacił około 1000 zł. Kiedy ginekolodzy pracujący we wrocławskim akademickim szpitalu zorientowali się, że badaniom poddawane są także pacjentki, u których nie ma wskazań i, co gorsza, takie, u których są wyraźne przeciwwskazania, zaczęli protestować. W efekcie w klinice przeprowadziła kontrolę NIK, ale zajęła się głównie finansami. Zaś rozmaite komisje, dyscyplinarne i etyczne, powoływane przez uczelnię, dyrekcję szpitala, Państwowe Towarzystwo Ginekologiczne i Ministerstwo Zdrowia nie zastanawiały się, czy pacjentkom kliniki dr. Zimmera nie działa się krzywda, tylko nad tym, czy lekarze mają prawo krytykować uczelnię i szpital. Prokuratura także się już histeroskopia- mi zajmowała: przez większość czasu w zawieszeniu, bo nie było opinii biegłego. W 2015 r. śledztwo umorzono z powodu braku znamion przestępstwa.

AS

REKLAMA

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r.



Rezerwacja +48 22 128 48 81

Adres: Warszawa ul. Marszałkowska 74

Bilety wstępów w cenie • Opieka polskiego pilota • Małe grupy



Ferie zimowe

Safari w RPA

Wybierz się w podróż, aby podziwiać przyrodę RPA. Zobacz niezwykłą trasę widokową Panorama Route, kopalnię diamentów i weź udział w safari w Parku Narodowym Krugera

Program wycieczki: Dz. 1. Wylot z Warszawy. Dz. 2. Johannesburg – Pretoria. Przejazd do Zebra Country Lodge i odpoczynek. Dz. 3. Kopalnia diamentów w Cullinan. Dz. 4. Przejazd malowniczą trasą Panorama Route. Dz. 5. Safari w Parku Narodowym Krugera. Dz. 6. Safari w Parku Narodowym Krugera. Dz. 7. Park Krugera – Johannesburg. Wylot. Dz. 8. Przylot do Warszawy



Wylot: 14/01, 09/07 i 16/10 2019

6898 zł



Najlepsza cena

Spitsbergen – ostatni przystanek przed Biegunem Północnym

Poczuj pełnię lata arktycznego, kiedy słońce świeci całą dobę, a budzące się ze snu zimowego zwierzęta sprawiają, że cały ład tętni życiem

Program wycieczki: Dz. 1. Wylot z Warszawy do Kopenhagi. Wieczorny spacer po mieście. Dz. 2. Przelot Kopenhaga – Longyearbyen (Spitsbergen), wejście na statek. Dz. 3. Fiord Króla i Ny Ålesund – najdalej na świecie wysunięta na północ osada. Dz. 4. Wyspa Amsterdam i stacja wielorybnicza w fiordzie Smeerenburg. Dz. 5. Wzdłuż lodu pakowego w stronę 80 równoleżnika. Dz. 6. Wyspa Andoyane i lodowiec Monaco. Dz. 7. Fiord Krzyża i zatoka Fjortende Julibukta oraz aktywny lodowiec Lilliehöökbreen. Dz. 8. Cieśnina Bellsund, ściany lodowe w zatoce Vårsol i miasteczko Calypso. Dz. 9. Wylot z Longyearbyen i powrót do Warszawy

Wylot: 15/06/2019

17198 zł

Pełne wyżywienie na statku





© CHEN YICHEN/XINHUA NEWS/EAST NEWS

Ujgurzy prześladowani

Oficjalnie władze chińskie prowadzą w Sinciangu rozprawę z ekstremizmem religijnym i lokalnymi terrorystami. Zapewniają stabilizację, aby zwykli ludzie nie bali się wychodzić z domów. Organizacje broniące praw człowieka i niezależni dziennikarze alarmują natomiast o brutalności i skali operacji. Z ich relacji, uznawanych za wiarygodne m.in. przez szereg europejskich rządów i ostatnio przez członków komisji praw człowieka ONZ, wynika, że chińscy komuniści stosują wyrafinowane metody inwigilacji i rozwinięli sieć ośrodków internowania, w których przebywa co najmniej milion osób, głównie Ujgurów.

Sinciang leży na zachodzie Chin, to już Azja Środkowa. Ma powierzchnię ponad pięciu Polski i tylko 23 mln mieszkańców, wśród nich najliczniejszą grupę stanowią ludy pochodzenia tureckiego, przeważnie muzułmańscy Ujgurzy oraz Kazachowie. Od wieków region był także celem migracji Chińczyków Han. Wygląda na to, że obecnie rządzący Chiński komuniści próbują dokończyć dzieło cy-



© ZUMA PRESS/FORUM

Paryż za karę

Obchody setnej rocznicy zawieszenia broni na zachodnich frontach I wojny światowej miały być demonstracją jedności Zachodu. Znowu powiało jednak pesymizmem. Największe kontrowersje wywoływała zapowiedź kuluarowego spotkania Donalda Trumpa z Władimirem Putinem. Nie doszło do niego, a dodatkowo Francuzi w ostatniej chwili przesadzili obu panów z dala od siebie na uroczystym lunchu w Pałacu Elizejskim.

Trump zachowywał się tak, jakby przyjechał do Paryża za karę. W ostatniej chwili zrezygnował z udziału w rozpoczęciu uroczystości w podparyskim Belleau, gdzie zginęło ok. 2 tys. Amerykanów. Nie przyjechał, bo padało. I gdy Emmanuel Macron z Justinem Trudeau mokli pośród grobów, Trump w paryskim hotelu oglądał telewizję i tweetował. Potem nie wziął udziału w pochodzie światowych liderów Polami Elizejskim. Podjechał samochodem, a i tak spóźnił się również na główną uroczystość pod paryskim Łukiem Triumfalnym. Tam jednak musiał już wysłuchać kilku cierpkich słów ze strony gospodarza, m.in. że nacjonalizm jest zaprzeczeniem patriotyzmu. „Mówiąc »liczą się tylko nasze interesy, inni nie mają znaczenia«, tracimy najważniejsze źródło naszej dumy narodowej: związane z nią wartości moralne” – Macron pił wyraźnie do Amerykanina. Ewidentnie nie była to impreza dla Trumpa. Ciężar wojny, skala katastrofy i liczba ofiar sprzed stu lat sprawia, że w trakcie obchodów rocznicowych politycy siłą rzeczy schodzą na drugi plan. Przynajmniej w założeniu ustępują miejsca pamięci o tragedii, która powinna być dla wszystkich ostrzeżeniem. Trudno w takich okolicznościach zabłysnąć. Trump ożywił się tylko w jednym momencie – gdy Putin podszedł, by podać mu rękę.



© GETTY IMAGES

Krótki, ale groźny

Zablokowany most Brookliński na czas przejazdu opancerzonego konwoju policyjnego, anonimowi świadkowie oraz cały czas chroniona przez uzbrojonych funkcjonariuszy ława przysięgłych, wybrana za trudem, bo kandydaci dostawali ataków paniki na wieść, że mogą być powołani. Tak wygląda właśnie rozpoczęty nowojorski proces **Joaquina Guzmána**, do niedawna najpotężniejszego barona narkotykowego od czasów Pablo Escobara. Z powodu mikrego wzrostu bardziej znany jako Chapo (Krótki), do 2016 r. stał na czele meksykańskiego kartelu narkotykowego z Sinaloa,

największego w tym kraju. Wpadł jednak w ręce mundurowych po kuriozalnym spotkaniu z amerykańskim aktorem Seanem Pennem i meksykańską gwiazdą telenowel Kate del Castillo, którzy chcieli nakręcić film o gangsterze. Meksykanie zgodzili się na ekstradycję do Stanów, bo Guzmán wcześniej dwukrotnie bez problemów uciekał z ich własnych więzień o podwyższonym rygorze. Teraz siedzi w izolatce nowojorskiego aresztu nazywanego „małym Guantanamo”, bo trafiają do niego podejrzani o terroryzm.

Choć opłaca najlepszych prawników w Stanach (magazyn „Forbes” zalicza go do stu najbogatszych ludzi świata), którzy wcześniej doprowadzali do uniewinnienia nawet szefów włoskiej mafii, to prokuratura wyciągnęła asa z rękawa. W zamian za złagodzenie własnej kary, zeznać przeciw niemu zgodził się złapany kilka lat temu przez amerykańców syn El Mayo, czyli wieloletniego zastępcy Guzmána, który teraz przejął stery kartelu z Sinaloa. Dziecko kolegi może go więc pogrozić, ale Chapo zachowuje klasę: publicznie obiecał, że bez względu na wynik procesu nie zleci zamordowania przysięgłych.

wilizacyjnego podboju Sinciangu, a przynajmniej wryć ideę sekularnego, nowoczesnego chińskiego patriotyzmu. Idzie to wielotorowo. Oprócz znanych m.in. z Europy administracyjnych zakazów zasłon dla kobiet, to także nakazy odpowiedniego zarostu dla mężczyzn oraz wizyty domowe członków partii komunistycznej, którzy sprawdzają, jak się prowadzą ich podopieczni: co jedzą, co piją, czy się modlą, jak spędzają wolny czas.

Dane z wizytacji, zwykłych donosów, a także z wywiadu elektronicznego, w tym montowanych w miejscach publicznych systemów rozpoznawania twarzy, podsłuchów i informacji o lokalizacji telefonów komórkowych używane są do typowania osób, które powinny znaleźć się w miejscach odosobnienia. Internowani przetrzymywani są pozaprawnie, marnie traktowani, poddawani reedukacji, częste są relacje o torturach. Do niedawna Chiny zaprzeczały istnieniu tych placówek, dziś nazywają je ośrodkami szkolenia zawodowego albo kształcenia i transformacji. Rosyjscy specjaliści od bezpieczeństwa sugerują, że ich przywódcy z uwagą przyglądają się możliwościom chińskiego państwa policyjnego, by także u siebie móc wprowadzić taki elektroniczny knut.

Serial z Kolombo

Gotowe scenariusze modnych dziś seriali o intrygach władzy czasami leżą na ulicy. Weźmy Sri Lankę. Właśnie prezydent Maithripala Sirisena nieoczekiwanie zdymisjonował swojego premiera Ranila Wicremesinghe, nazywając go na pożegnanie arogantem i uparciuchem. A ku jeszcze większemu zdziwieniu nowym premierem mianował **Mahidę Rajapakse**, poprzedniego prezydenta i swojego głównego konkurenta w ostatnich wyborach prezydenckich. Rajapaksa to postać barwna i kontrowersyjna, charyzmatyczny mówca, po wsiach krążą o nim pieśni i wiersze. Był prezydentem w okresie 2005–15, na który przypadło krwawe stłumienie powstania Tamiłskich Tygrysów na północy kraju, po paru dekadach wojny domowej. Końcówka operacji wojskowej była szczególnie bezwzględna, na terror armia odpowiadała jeszcze okrutniejszym terrorem, bardzo ucierpiała ludność cywilna (co znalazło szczegółowy opis w raporcie



ONZ). Odejście Rajapaksy, oskarżanego również o korupcję i miliardowe zadłużenie kraju w Chinach, miało otworzyć epokę pojednania Syngalezów i Tamiłów. A kilka specjalnych komisji zbadać, jakie są losy

tysięcy ludzi, którzy zaginęli bez śladu, w tym dziennikarzy – i wystawić rachunki za łamanie praw człowieka. Szło to powoli, teraz z pojednania może zostać niewiele i znów może połać się krew.

Rajapaksa szybko utworzył rząd, mianując się ministrem finansów i oferując cztery teki ludziom poprzednika. Ale i Wicremesinghe ogłosił, że nadal jest premierem i nie opuści rezydencji Temple Trees (której teraz chroni kordon zwolenników), bo to nie prezydent odwołuje szefa rządu, tylko parlament. W nowej konstytucji istotnie ograniczono władzę prezydenta, jako nauczkę po epoce Rajapaksy. Na takie dictum prezydent szybko rozwiązał parlament i ogłosił przedterminowe wybory. Teraz wszystko w rękach Sądu Najwyższego. Te ostatnie odcinki serialu zostały pochwalone przez Chiny, nowego energicznego partnera Kolombo, a zaniepokoiły Indie, USA i Unię, która zagroziła, że zawiesi porozumienie o wolnym handlu. Niestety, nie ma na razie w tej opowieści godnych ról kobiecych, ale to dopiero zawiązanie akcji.



Jozef Tiso (z lewej) z Adolfem Hitlerem, 1943 r.

Tiso wypada z konkursu

Czy my szukamy największego Słowaka XX w., czy największego zbrodniarza? – pytał słowacki komentator po tym, jak publiczna telewizja zaczęła z wielką pompą promować program „Największy Słowak” spotami, w których pojawia się ksiądz Jozef Tiso, dyktator, który w latach II wojny światowej rządził uzależnioną od III Rzeszy Słowacją. Chodzi o prestiżowy program rozpisany

na ponad rok. W serii głosowań widzowie mają wybierać narodowego bohatera. Program jest robiony na licencji BBC – w Wielkiej Brytanii wygrał Winston Churchill. Start słowackiej wersji obwieszono na specjalnej konferencji prasowej na Hradzie w Bratysławie, wydarzenie było transmitowane na żywo, z atencją o inicjatywie wypowiadali się rządzący. Tymczasem w klipach promujących program, obok wielkiego poety Hviezdoslava, współzałożyciela Czechosłowacji Milana Štefanika czy Aleksandra Dubczeka pojawił się także Tiso – przywódca państwa, które istniało tylko dzięki wsparciu Hitlera i za to wsparcie starało się odwdziżyć.

Pomysłodawcy próbowali się bronić, twierdząc, że to tylko konkurs i wszystko zależy od głosów obywateli oraz że historyczne postaci bywają kontrowersyjne. Słowacy swoją historię traktują ze sporą otwartością, dlatego w tym samym klipie co Tiso występowała też cesarzowa Maria Teresa, która w XVIII w. położyła wielkie zasługi dla modernizacji szkolnictwa Królestwa Węgier, którego częścią była Słowacja. Ale materiał promocyjny z prezydentem tamtego państwa, który ma na sumieniu ponad 70 tys. słowackich Żydów, jest absolutnie nie do przyjęcia – ostro zareagował były dyrektor publicznej telewizji Vaclav Mika. Obecny, Jaroslav Reznik, jest znany od dawna ze związków ze środowiskami nacjonalistów. Tym razem i on musiał ustąpić, i po tygodniu kontrowersyjny klip wycofano, a do regulaminu konkursu dodano zapis, który zabrania zgłaszania do niego ludzi prawomocnie skazanych za zdradę ojczyzny – a to właśnie jest przypadek Tiso.

NATO w korytarzu Rosji

Zderzenie norweskiej fregaty „Helge Ingstad” – podczas natowskich manewrów Trident Juncture, trwających od 25 października do 7 listopada – z tankowcem pod maltańską banderą to pech i koszty, ale nie pierwszy taki wypadek przy pracy. Zderzenia z cywilnymi jednostkami na zatoczonym zachodnim Pacyfiku zdarzały się już amerykańskim niszczycielom. Gdy szukano przyczyn, wskazywano na braki w wyszkoleniu i przemoczenie załóg, wynikające z wydłużania misji pod presją konieczności politycznej. Niewykluczone, że pod koniec wymagających ćwiczeń załogę norweskiego okrętu też zawiadła czujność lub sprzet.

Trident Juncture były największymi ćwiczeniami od dekad, w dodatku prowadzonymi w miejscu będącym dla Rosji strategicznym korytarzem prowadzącym na Zachód. Amerykański lotniskowiec zapuścił się poza koło podbiegunowe. Siły szybkiego reagowania NATO pospieszyły na ratunek Norwegii. A niemieckie Patrioty zapewniły osłonę przed atakiem raketowym. NATO ćwiczyło odparcie agresji siłami wszystkich sojuszników w prawie zimowych warunkach – bo im więcej potu na ćwiczeniach, tym mniej krwi w boju. Z Polski była fregata ORP „Pułaski” i kontyngent z 21. Brygady Strzelców Podhalańskich – udział skromny, bo w kraju trwa Anakonda, najważniejsze ćwiczenia Wojska Polskiego.

Niedoszczepieni

Śmiertelna ofiara pneumokoków w Poznaniu i ognisko odry w Pruszkowie mogą okazać się punktem zwrotnym w świadomości Polaków. Pytanie, czy służba zdrowia nie zaprzepaści tej szansy? Na razie sobie nie radzi.

MARTYNA BUNDA

Po tym jak w Pruszkowie zanotowano ponad 20 przypadków zachorowania na odrę, sanepid uruchomił w tym mieście dodatkowe punkty szczepień. Przyjmuje dzieci nieszczepione albo niedoszczepione – czyli te, którym nie podano wszystkich niezbędnych dawek – i osoby dorosłe, które miały kontakt z chorymi. Ewentualnie – niezaszczepione na odrę dzieci, które mogłyby taki kontakt mieć. Wszyscy pozostali chcący się zaszczepić proszeni są o zgłaszanie się do placówek, w których mają lekarza rodzinnego. Rodzice dzieci z niekompletnymi szczepieniami dzwonią na potęgę, sami już też niezaszczepieni, bo odporność wygasła, dzwonią i frustrują się, że jako „niezwiązani z postępowaniem” nie mogą skorzystać z punktu w sanepidzie.

Wówczas dzwonią do swoich przychodni. Tam słyszą, że trzeba czekać.

W Warszawie i okolicznych miejscowościach czeka się miesiącami. Sytuacja od lat jest taka sama. Synowie pani Z. czekają już dwa lata. Mają wiele zaległych szczepień, a ona nie bardzo wie, co z tym zrobić.



Przedostatnie podejście – jesień 2016. Zagapiła się i szczepienia już wtedy były mocno spóźnione. Na warszawskim Żoliborzu dostała termin na za rok. Wraz z końcem roku niechący wyrzuciła notes, w którym zapisała dzień i godzinę. Nikt w przychodni nie potrafił odtworzyć daty wizyty. Panie powiedziały, że nie mają czasu przeglądać ksiąg na piechotę. Dostała nowy termin – za kolejne pół roku, w środku dnia, bo przychodnia szczepi przed południem. Dzieci wyjechały na wycieczkę szkolną, nie mogły przyjść. Kolejny termin ma na grudzień. W szczycie sezonu grypowego, więc różnie może być. Z. jest za szczepionkami, ale im trudniej je wyegzekwować od państwowej służby zdrowia, tym ciepłej – od miesięcy – patrzyła na antyszczepionkowców. W jakiejś mierze zwalniali ją z poczucia winy – bo ile można zmagać się z systemem? Aż do teraz.

N. chciała zaszczepić córkę w Gdańsku. Tamta przychodnia ma inny system; prowadzą zapisy z tygodniowym wyprzedzeniem. Raz na tydzień o szóstej rano N. stawała więc w kolejce – i odchodziła z kwitkiem. Nie było już numerków na szczepienia w tygodniu. Rejestratorki przeproszały, że nic nie mogą poradzić; braki w obsadzie pediatrów. A bez badania nie można zaszczepić.

K. z Lublina, matka noworodka po trudnym porodzie, została wypuszczona ze szpitala z zaleceniem, że trzeba jak najszybciej uzupełnić szczepienia. Dostała skierowanie do specjalistycznej poradni. Tam dowiedziała się, że na ten rok miejsca się skończyły. Był sierpień. Lekarz rodzinny nie miał odpowiednich szczepionek. Ponieważ naciskała, wystawił skierowanie do neonatologa ze słowami: „niech on się martwi”.

J. z Warszawy. Zgodnie z harmonogramem córka miała dostać szczepionkę przeciw zapaleniu wątroby, ale w przychodni jej nie mieli. Skończyły się, nie ma, to nie ma – powiedziała pani w rejestracji. Szczepionki nie było też w paru innych placówkach i aptekach. Dziewczynkę zaszczepiła dopiero pediatra z rodziny – specjalnie przyjechała z południa Polski, ze szczepionką z trudem zdobytą w kolejnej aptece.

Jadwidze Sochalskiej, pediatrze z długim stażem z Gliwic, też zdarzało się jeździć ze szczepionkami do Warszawy, żeby tam aplikować je dzieciom krewnych, co w stolicy było nie do zrobienia. – *Szczególnie w dużych miastach system szczepień jest niewydolny. Dramatycznie brakuje pediatrów, co przekłada się na kłopoty z ustaleniem terminu wizyty kwalifikującej do szczepienia* – mówi Jadwiga Sochalska. – *W wielu krajach uważa się, że zupełnie wystarczające kwalifikacje do szczepienia dzieci mają pielęgniarki. Gdyby tak było w Polsce, przynajmniej częściowo rozładowałoby to problem kolejek.* Byłoby o problem mniej. Z całej listy problemów.

System niby jest

W opublikowanym dwa lata temu raporcie NIK wszystko wygląda dobrze: szczepienia są obowiązkowe, a system działa. To znaczy: szczepionki są przechowywane zgodnie z wymogami, zostaje zachowany łańcuch transportu i przechowywania, a proporcje zaszczepionych do niezaszczepionych ciągle wydają się bezpieczne. Jednak w praktyce cały system sprowadza się do paru zapisów w ustawach i rozporządzeniach, a życie je weryfikuje.

Zgodnie z prawem to przychodnie, gdzie prowadzi się szczepienia, powinny monitorować, które dzieci i kiedy mają być zaszczepione, i powiadamiać rodziców, że muszą się zgłosić. Robi to najwyżej co trzecia placówka. Część korzysta z telefonów, część posyła listy, większość nie robi nic. Skoro ludzie i tak się przeprowadzają i adresy są nieaktualne? – pytają retorycznie w tych przychodniach. Obowiązek pilnowania aktualności szczepień spada na rodziców. A ci zapominają. Czasem, jak Z., biorąc za dobrą monetę demagogię antyszczepionkowców.

Przychodnie nie dają rady obsłużyć dzieci wymagających szczepienia w danym czasie. Zwykle chodzi właśnie o brak pediatrów.

Jesienią i tak spędzają w pracy więcej czasu, niż wynika z grafiku. Bywa, że – jak w Gdańsku – wprost od chorych dzieci lecą do tych szczepionych. Choć zgodnie z prawem to obowiązek punktu szczepień, tylko część prowadzi ewidencję dzieci z nieaktualną ochroną. Owszem, są placówki korzystające z komputerów i programów pozwalających łatwo wyłapać braki – ale to mniejszość. Reszta próbuje wykonać rzecz mało możliwą, czyli zapanować nad tym wszystkim na piechotę. Albo po prostu tego nie robi.

Zgodnie z prawem, jeśli rodzic nie zaszczepił dziecka, wkraczają powiatowe inspektoraty sanitarne, które powinny wysłać upomnienie z pouczeniem, że sprawa może trafić do sądu. Rzadko wysyłają, nawet jeśli przychodnie przygotowują dla nich zestawienia zalegających ze szczepieniami. Albo wysyłają do części – jak w loterii. Kontrolowany przez NIK inspektorat w Toruniu napisał mniej niż do co czwartego rodzica; w Opolu, Lublińcu czy Gostyniu nie wysyłano upomnień w ogóle. Inspektoraty tłumaczyły, że papierologia jest niezwykle czasochłonna, a odsetek zaszczepionych dzieci przecież i tak wysoki.

Grzywny – nakładane przez wojewodę na rodziców nieszczepiących mimo wezwań – to też rzadkość, mniej niż 300 przypadków rocznie. Egzekwuje się trochę ponad 5 proc. tych sum. Niemal nie zdarza się, żeby ponawiano karę wobec rodziców, którzy nie szczepią mimo już nałożonych grzywien. Wyjątkiem był wojewoda podlaski, który wydał aż (jak na warunki polskie) 60 takich postanowień.

Praktyka pokazuje, że wiele można zdziałać po dobroci – a to najrzadszy sposób działania. W Skarżysku-Kamiennej pracownicy przychodni chodzili do domów nieszczepiących rodziców i wszystkim udało im się przekonać, że warto i że należy.

Strach, czyli konkret

Rodzice boją się poszczepiennych powikłań. Mimo dekad demontowania plotek, jakoby istniał związek pomiędzy autyzmem a szczepionkami, mimo Pulitzera dla dziennikarza, który zdemaskował fałszowanie badań, ta współczesna forma zabobonu wciąż się trzyma. Internet pełen jest spekulacji o koncernach zarabiających na szczepionkach zatruwających dzieci.

Szczepienie, jak każda ingerencja medyczna, wiąże się z pewnym ryzykiem, ale jest ono niewielkie. Co roku 6–8 dzieci (na co najmniej 400 tys. zaszczepionych!) źle reaguje na szczepionkę i trafia z tego powodu do szpitala. Około setki dzieci rocznie reaguje na szczepionkę gorączką, obrzękiem w okolicach ukłucia, ale dochodzi do zdrowia we własnym domu. U kilku tysięcy zauważa się drobne następstwa, jak niespodziewany rumień w miejscu wkłucia. Tyle.

Prowadzone przez wiele lat rzetelne badania dowiodły, że rzadkie przypadki powikłań wiążą się z przeoczeniem choroby u szczepionego dziecka – aktualnej albo przebytej na tyle niedawno, że system odpornościowy jest osłabiony i organizm, który dzięki szczepionce miałby wytworzyć przeciwciała, nie jest w stanie sobie z tym poradzić. Upór państwa i rodziców, żeby do szczepień kwalifikowali lekarze, a nie pielęgniarki, jest w tym kontekście bardziej zrozumiały – tyle że ma się nijak do lekceważenia całej reszty.

Począwszy od detali, pozornie nieistotnych, na których buduje się coś bardzo ważnego: bezpieczeństwo szczepień. Weźmy karty szczepień. Być może konkretne dziecko źle reaguje na szczepionkę jakiegoś typu. O tym lekarz wykonujący następne szczepienia koniecznie musi wiedzieć. Karty to ważny dokument. Zgodnie z prawem przechowuje je placówka, która szczepiła dziecko, i wydaje tylko innej placówce za pokwitowaniem. W praktyce większość przychodni szczepi także bez kart. Wydaje je rodzicom, a gdy zostaną zgubione, już nie da się ich odtworzyć. Także pilne zgłaszanie zauważonych powikłań w praktyce nie działa. Zgodnie z prawem każde powikłanie trzeba w ciągu 48 godzin zgłosić odpowiednim ►

► władzom. Ci lekarze, którzy w ogóle przekazują informacje o powikłaniach, zamiast natychmiast powiadomić inspektorat sanitarny, ewentualnie ślą listy. Odbierane po tygodniach.

Polacy sceptycy

Jednak przede wszystkim brakuje spójnej polityki. Wciąż szczepię się medykamentami starszego typu; choć to jak upierać się jeździć syrenką po współczesnych autostradach. Wymaga się od rodziców współpłacenia, ale na kuriozalnych zasadach. Albo szczepią za darmo tym, co państwo daje, albo płacą za całość. Nie ma mowy o pokryciu różnicy w cenie. Rodzice, którzy chcieliby zaszczepić dziecko najnowszymi preparatami, musieliby wyasygnować na szczepionki około 6 tys. zł. Część się decyduje. Większość nie.

Środowisko medyczne od lat naciska na NFZ, żeby finansować więcej rodzajów szczepień niż dotychczas. Padały konkretne wycenienia. Nawet NIK w 2015 r. zwracał uwagę, że państwo mogłoby lepiej wydawać pieniądze, inwestując w szczepionki przeciw pneumokokom oraz nowszego typu szczepionki przeciw błonicy, tężcowi i krztuścowi. Minister zdrowia wielokrotnie zwracał się w tej sprawie do ministra finansów. Argument zawsze był ten sam: państwo nie ma pieniędzy.

W zeszłym roku po wielu latach dopominania się państwo jednak dopisało do listy obowiązkowych szczepień pneumokoki. To ta choroba, na którą zmarło właśnie niemowlę w Poznaniu. Decyzja jest słuszna, tyle że – znów – szukając oszczędności, wybrano lek sprzed dekad. Państwo zaślaniało się raportami z Norwegii, wedle których ta tańsza szczepionka jest wystarczająca. Owszem – ale tam, u nich. W Norwegii nie występują szczepki zauważone w Polsce, więc tam nie trzeba uodparniać na nie dzieci. Szczepimy więc, ale częściowo – państwo płaci 150 zł za szczepionkę, choć za ponad 200 zł można by uzyskać dużo większą odporność. I w tym wypadku rodzic, który chciałby zaszczepić dziecko nowszym typem leku, musi zapłacić za całość, a nie – dopłacić różnicę.

Tymczasem Polska wypadła właśnie z listy krajów, w których odsetek zaszczepienia jest wystarczająco wysoki, by ochronić także tych, którzy nie mogą przyjąć szczepień. A jeśli uwzględnić np. milion Ukraińców w dużych miastach, jesteśmy już grubo poza granicą bezpieczeństwa, bo tam w ogóle nie stosuje się obowiązkowych szczepień.

Liczba rodziców nieszczepiących podwaja się co roku. W tym roku chodzi już o 30 tys. dzieci. Gdy Komisja Europejska zapytała mieszkańców poszczególnych państw o stosunek do szczepień, okazało się, że to Polacy są najbardziej sceptyczni w Europie. 70 proc. uważa, że dzieci powinny być szczepione. Tylko trochę ponad połowa sądzi, że szczepionki są bezpieczne i skuteczne. Aż połowa podejrzewa, że szczepienie dzieci może stać w sprzeczności z ich religią. Badania są powtarzane co trzy lata, po ostatnich właśnie w Polsce odnotowano największy spadek zaufania do szczepionek, choć w innych krajach – Włoszech, Holandii czy Norwegii – w tym samym czasie zaufanie rosło. (Notabene w Norwegii szczepienia nie są obowiązkowe, mimo to odsetek zaszczepionych dzieci należy do najwyższych na świecie).

Dowiedziano, że za antyszczepionkową histerią stoi źródło w Rosji; być może chodzi o międzynarodową

politykę tego państwa, o wzniecanie zamieszania, niepokoju społecznego, który odwróci uwagę od innych kwestii – padło na szczepionki, a Polacy się złapali. Ziarno padło na podatny grunt, bo Polacy, jak mało które społeczeństwo, doświadczyli na sobie negatywnych aspektów pędu do pieniędzy w konkretnych, więc im nie ufają.

Prócz rosyjskich trolli szczepionkami chętnie gra się w wewnętrznych rozgrywkach politycznych. W dobie polityki, która nie tyle rozwiązuje problemy, ile wykorzystuje frustracje i konflikty do utrzymania władzy – ba, nawet sama je wznieca – szczepionki okazały się równie dobre do zbijania politycznego kapitału, jak straszenie napływem obcych. Więc w Sejmie pojawił się projekt ustawy, pod którą zebrano aż 120 tys. podpisów, mającej znieść obowiązkowość szczepień. Na początku października 211 głosami posłów PiS, 19 głosami posłów Kukiz'15, z poparciem niektórych posłów innych partii projekt skierowano do dalszych prac – co wśród odpowiedzialnych posłów nie miało prawa się zdarzyć.

Co gorsza, nie chodziło tylko o to, by zebrać głosy przestraszonych rodziców. Jest gorzej. Także sami posłowie dali się przekonać czarnemu piarowi wokół szczepień. Wśród głoszących za była również piątka lekarzy i pielęgniarka. W miniony piątek na fali publikacji o „odrze nad Wisłą” Sejm jednak olbrzymią większością głosów projekt odrzucił.

Kiedy my żyjemy

Realne zachorowania powoli likwidują dylemat wielu lekarzy – straszyć czy nie straszyć skutkami nieszczepienia? Rzeczywistość sama straszy. W tym roku zanotowano już ponad 180 przypadków odrę – niezwykle zaraźliwej choroby, na którą w cza-

sach przed szczepionką umierała jedna trzecia zarażonych, a co czwarty przypadek z pozostałych kończył się uszkodzeniem mózgu lub głuchotą. Ostatnio liczba zachorowań na odrę co roku się podwaja. Szczególnie dużo przypadków rejestruje się nie tylko na Ukrainie, ale i np. w Niemczech. W całej Europie naliczono ponad 40 tys. pacjentów, co oznacza, że odra na dobre wróciła.

Wraca też polio. W latach 50. choroba dotykała tysięcy dzieci, z których wiele przypląciło zarażenie trwałym inwalidztwem. W 2015 r. zarejestrowano dwa przypadki polio na Ukrainie; na świecie co roku wybuchają epidemie w Indiach, Nepalu, Pakistanie, Tadżykistanie, Afganistanie czy wielu krajach afrykańskich. Odrodziła się gruźlica. Przeprowadziła się do miast; tu co roku notuje się ok. 10 tys. nowych przypadków. Kilukrotnie (do 5–7 tys. rocznie) wzrosła liczba zachorowań na krztusiec, który uszkadza wzrok, słuch, nerki, prowadzi do śmierci. W Europie choruje około 50 tys. osób rocznie, a kilkadziesiąt umiera.

Tymczasem obok kampanii antyszczepionkowej coraz wyraźniej przebijają się i głosy przeciwnie. Gdy okazało się, że miastom nie wolno wprowadzać przepisów nakazujących przyjmować do przedszkoli tylko dzieci zaszczepione, pojawiła się nowa idea: punkty za szczepienia, na wzór tych za pochodzenie. To inicjatywa obywatelska pod hasłem „Szczepimy, bo myślimy”. Zbieranie podpisów trwa.

MARTYNA BUNDA

Realne zachorowania sprawiają, że powoli znika dylemat wielu lekarzy – straszyć czy nie straszyć skutkami nieszczepienia?

